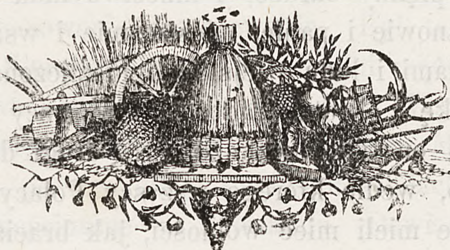
Tom VII.



Nr. 17.

11. Grudnia. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Czytaliście już o drugiem rozerwaniu Polski, widzieliście jaka to była rzecz okrótna i niegodziwa. Moskale i Prusacy nawiedli do Polski wojska mnóstwo, uciskali naród straszliwie, tak że już ostatnia bieda przychodziła na naszą ojczyznę. Wszyscy widzieli, że to tak długo nie może być, że naród nie wytrzyma takiej krzywdy i takiej hańby. Jęli więc Polacy przemyśliwać nad tem, jakby to zaradzić biedzie. Radzili nad tem owi zacni panowie, którzy ułożyli sławną konstytucyę Trzeciego Maja i wszyscy zgodzili się, że tylko jeden Tadeusz Kościuszko potrafi ratować Polskę.

Tadeusz Kościuszko był jenerał polski, a o nim mieliście już nieraz pisanie w Dzwonku. Kiedy po konstytucyi Trzeciego Maja zaczął Moskal i Prusak czepiać się i napastować Polskę, pobił ich nawet Kościuszko, ale potem z innymi musiał wyjechać za granicę. Tam ciągle nad tem myślał, jakby kraj polski ratować, i przekonał się, że to można uczynić tylko tym sposobem, jeżeli lud wiejski razem z panami i z mieszczanami bić będą wrogów. Owoż kiedy go Polacy prosili, aby od Moskali obronił kraj, usłuchał ich i powrócił nazad do Polski.

Przyjechał najpierw do Krakowa, a było to w marcu roku pańskiego 1794, więc będzie temu niebawem siedmdziesiąt lat. Dzień był piękny bardzo, i mnóstwo ludu wyszło naprzeciw. Wyszli panowie i panie, mieszczanie i wszyscy xięża, cechy z chorągwiami i ludu wiejskiego niezliczona moc. Wszyscy witali Kościuszkę z okrótną radością i wszyscy obiecali słuchać go i czynić co on tylko rozkaże. Na drugi dzień wydał Kościuszko prawo, wedle którego wszyscy Polacy mieli być równymi i jednakie mieli mieć wolności, jak bracia; więc panowie i wieśniacy i mieszczanie. Zaś lud wiejski miał mieć wszystkie wolności, tak jak mu je chciała dać konstytucya Trzeciego Maja. A potem rozkazał Kościuszko, aby każdy człek dobry, który ma chęć bronić ojczyznę, szedł do niego, i każdy niech bierze broń i staje w szeregu, pan obok kmiecia i kmieć obok mieszczana, a ten dopiero będzie lepszy, który się więcej zasłuży. Zaś aby pokazać, iż on sam, choć najwyższy jenerał i naczelnik, ma się za równego z kmiećmi, wdział na się chłopską sukmanę krakowską, i w niej zawsze już chodził.

Wnet siła ludu różnego, najbardziej młodych, zaczęło się zbiegać do Krakowa i do wojska przystawać. Kto miał broń, szedł z bronią, zaś kto jej nie miał, co się często między ludem wiejskim zdarzało, ten brał kosę wyostrzoną albo pikę, i szedł na Moskali. Tym sposobem uformowały się pułki kosynierów i Krakusów, który lud był bardzo dzielny. Kiedy już była dobra garść tego wojska, siadł Kościuszko na konia i prowadził ich na Moskali. Kawał drogi od Krakowa jest wieś Racławice, gdzie spotkano ogromną moc Moskali. Rzecze Kościuszko do swych żołnierzy: ano bracia ruszmy się na nich. Skoczą Krakusy, i z kosami jeno a z pikami nakłóli moc okrótną Moskali i pobili ich srodze, a nawet odebrali im broń i armaty. Tak dzielnie umie bić kmieć polski. Najbardziej zaś zasłużył się pod Racławicami pewien kmieć pospolity, Głowacki, który sam jeden armatę odebrał. Tego Kościuszko uściskał i ucałował przed całem wojskiem i starszym go nawet uczynił. Była ta bitwa dnia czwartego miesiąca kwietnia, poczem zaczęli Moskale uciekać w okrótnym strachu.

Ci Moskale siedzieli naonczas z wielką siłą w Warszawie, uciskając bardzo naród wszystek. Był w tem mieście pewien szewc Jan Kiliński, człek dzielny i poczciwy, któremu strasznie zmierziło się panowanie moskiewskie. Był tam także pewien rzeźnik Józef Sierakowski, i inni dzielni mężowie, którzy postanowili ratować Warszawę i ojczyznę. Właśnie temi czasy nadchodziły święta wielkanocne, a niecnoty Moskale chcieli w sobotę wielką po rezurekcyi lud po kościołach wyrznąć, aby nie pomagał Kościuszce w powstaniu. Dowiedział się o tem Kiliński, więc zebrał co znaczniejszych mieszczan na radę i postanowili, aby w wielki czwartek precz wygnać Moskwę z Warszawy. Rankiem tego dnia, który był siedmnasty miesiąca kwietnia, jął lud warszawski bić Moskali. Na ulicach sroga wojna się wszczęła. Moskwa siłę wojska miała, więc broni i wszystkiego. Zaś lud polski czem mógł tem się bił, czasem kijem, pałką, lub narzędziem jakimbądź. Mimoto pobito Moskali i precz ich z miasta wygnano, a Wielkanoc z wielką radością obchodzono, bo już nie było nieprzyjaciela. Więc i Kilińskiego szewca wszyscy za takie rycerstwo bardzo pokochali, a Kościuszko uczynił go pułkownikiem wojska polskiego.

Wnet potem zaczęto powstawać w Litwie, gdzie Moskali wygnał za pomocą ludu z Wilna pewien Jakób Jasiński, wojskowy polski. Potem ze wszech stron zebrało się wojsko i lud zbrojny do Kościuszki, który ruszył się do Warszawy, a ztąd chciał iść na Moskwę, aby ją ostatecznie pobić i Polskę oswobodzić.

Naonczas wysłała carowa przeciw Kościuszce wojsko ogromne, które spotkało Polaków pod wsią Maciejowicami, a ta jest niedaleko Warszawy. Zaczęto bitwę, a choć Moskwy było znacznie więcej, bronili się mężnie Polacy. Naostatek pobito ich i samego Kościuszkę srodze zraniono, i innych zacnych mężów, których Moskale do niewoli wzięli. Wielkie to nieszczęście stało się dnia 10 października.

Potem już nie mogli dać sobie radę biedni Polacy. Wnet oprócz Moskwy wpadli Prusacy wielką siłą, i wojska austryackie do Polski weszły. Bronili się Polacy jeszcze czas niejaki, aż dopóki Moskale Warszawy nie zajęli. Wtedy nie

*

było już co robić. Kogo nie zabito, ten wracał do domu jeśli mógł, zaś wielu poszło w świat daleki, do Francyi i do innych krajów, niektórzy aż za morze, kędy synowie ich do dziś dnia tęsknią za ojczystym krajem.

Zaś trzy mocarstwa one, rosyjskie, pruskie i austryackie, podzieliły się ostatkiem ziemi polskiej, tak iż ani kęsa wolnej ziemi nie zostawili. Stało się to na drugi rok po wojnie Kościuszkowskiej, więc roku pańskiego 1795.

## Wiejski kramarz.

Niechaj będzie pochwalony!
Z towarem przychodzę:
Mam różności z różnej strony,
Sprzedaję po drodze.
Będęż próżno tyle drogi
Dźwigał towar mój ubogi?
Kupcie, kupcie — jak Bóg żywy
Mazur ja poczciwy.

Jak widzicie, z łaski nieba,
Są wstążki, korale:
Każdy kupi co mu trzeba
I nie drogo wcale.
Miejcie wzgląd na trudy moje,
Bóg odpłaci wam we dwoje.
Kupcie, kupcie — jak Bóg żywy
Mazur ja poczciwy.

Oj! dalekoć moja chatka,
Daleko rodzina:
Dawno, dawno ojciec, matka
Wyglądają syna.
Ktoż ich wspierać będzie w nędzy?
Muszę wracać — kupcie prędzej!
Kupcie, kupcie — jak Bóg żywy
Mazur ja poczciwy.

*X. G.*

## Przybyło dnia na kurzą stopę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tak przywitał swego ukochanego Dobrodzieja xiędza

proboszcza stary Tomasz Sikora, wchodząc do pierwszej izby na plebanii.

— Na wieki wieków! — odrzekł xiądz proboszcz — jak się macie Tomaszu, cóż tam we wsi nowego?

— Ej nic ta złego nie słychać, dziękując Panu Jezusowi — rzecze Tomasz — śnieg nam spadł, przymrozki nastały, to też i ludek zaraz zdrowszy; a te niemoce, co mało wiele zaczęły ludzi napadać, jak wiadomo Dobrodziejowi, boć i moja była zaniemogła, tylko jej te ziółka od Dobrodzieja dużo pomogły; otóż mówię, i te niemocy ustały, tylko za to już człek musi teraz więcej w chałupie siedzieć, a jak przyjdzie święta niedziela, albo inny jakowy dzień świąteczny, toby się człeku znudziło, żeby nie łaska Dobrodzieja, co nam różne rzeczy daje czytać, z czego ludzie okrutnie radzi, i radzi czytają. — Otoż też odniosłem ja Dobrodziejowi ostatnie dwa Dzwonki, a może też łaska Dobrodzieja nastąpi, jeszcze też dać co mało wiele do czytania? — A bez urazy xiędza proboszcza, nie ma też tych nowin, com ich tu kilka razy od Jegomości Dobrodzieja dostawał; za tem straszecznie lud ciągnie, jak i teraz, to jaki taki ciekaw, co się w świecie dzieje. A zkądże się dowie, nie każdy śmie tak często do Jegomości, albo do dworu się przykrzyć, aby się o jakowej rzeczy dowiedzieć.

— Mój kochany — rzekł xiądz proboszcz — takich nowin ze świata teraz nie dostajemy dla was, ale da Pan Bóg doczekać, jak się znów sejmy zbiorą w kraju, to i nowiny będą pewno drukowane, ale tymczasem dam ci swarną xiążeczkę, co się zwie „Ludzie z pod słomianej strzechy.“

— Oj to to, proszę Dobrodzieja, bo ja już o tej xiążce mało wiele słyszał, że to tu cudności w niej wypisane — bo ją Walek z kądsik z miasta dostał, to się jej nie mógł nachwalić, i nagadać o niej nie mógł. A idą też i święta, to jaki taki przyjdzie, i będzie słuchał, i dzień nawet też mało wiele od św. Łucyi będzie większy, przybędzie go jak to mówią na kurzą stopę.

— Na kurzą stopę, to nie wiele, prawda Tomaszu? — spytał ze śmiechem Dobrodziej — ale jak że ty myślisz, mówił dalej, co to znaczy ta przypowiastka na kurzą stopę?

— A jużcić proszę Dobrodzieja, ja myślę że to niby tak odrobinkę dnia przybędzie, jak na to mówiąc na kurzą stopkę, i że to do tego taka przygadka.

— Nie mój kochany — rzekł xiądz proboszcz — to nie takową rzecz znaczy, ta kurza stopka, tylko widać od czego innego ta przygadka powstała; a ponieważ wiem, że ty o naszych dawnych polskich historyach wiedzieć lubisz, to ci o tej kurzej stopce w krótkości opowiem. To tak jest :

Bywasz w Krakowie prawda, i wiesz gdzie ten wspaniały zamek stoi, w którym to wszyscy nasi polscy królowie leżą — i gdzie to taki wielki okrutny dzwon, co się Zygmunt zowie, co aże 24 ludzi go rozruszać mogą.

— O wiem proszę Dobrodzieja — powie Tomasz — nawet łońskiego roku, jakem był jakiemuś tam jegomości furę drzewa zawiózł, to jakiś taki był dobry, że mnie zaprowadził do kościoła, i śliczności mi tam pokazywał. Widziałem trumnę świętego Stanisława, co stoi w samym środku kościoła ze szczerego śrebra, i nawet proszę jegomości pokazał mi w grobach naszych umarłych królów polskich.

— Otoż widzicie — mówi xiądz proboszcz — w tym zamku królewskim, jak przed laty polscy królowie mieszkali, była wielka moc pokoi, bo jużcić gdzieżby się króle i dworscy byli mieścili; zaś jedna izba między wszystkiemi, gdzieś tam w samem środeczku, była taka okrągłutka i taką niby formę miała, jakby kurza stopka, i tak ją też przezwali, i nijak potem tej izby nikt nie zwał, tylko kurzą stopką. Mówią także, że nasza świątobliwa królowa Jadwiga okrutnie lubiła w tej izbie przesiadywać.

Otoż jak się rzekło, że ten tam pokój jest w środku zamku między murami, choć w nim jest kilka okien, to tak jakoś do niego z niskąd słonko nie zajrzy, tylko dopiero oto w tej porze koło świętej Łucyi, kiedy parę minut dnia przybywa, to dziwnym jakimś trafunkiem, słonko w jedno okienko do tej izby zaglądnie. A że to dworscy królewscy byli przez kilka lat zauważyli, że tylko wtedy słonko do tej izby zagląda, to zwykli byli między sobą mawiać: „o już przybywa dnia, bo już przybyło na kurzą stopę;“ i tak to potem takie przysłowie się zro-

biło, że dnia przybyło na kurzą stopkę. No i do dziś ta przypowieść tak jest, i wszyscy ją powtarzają, ale i setny nie wie, dlaczego to, i zkąd ta przypowieść urosła. Kto lubi czytać nasze dawne dzieje polskie, to się wszystkiego dowie i zrozumie wiele rzeczy, które dawniej ani rusz nie chciały mu wejść do głowy.

— O prześlicznie też Jegomości dziękuję za tę gadkę — odrzekł Tomasz — o tej kurzej stopie; jużto prawda i prawda, że się człek do samej starości ma co uczyć i nigdy jeszcze nie będzie wiedział wszystkiego. Okrótniem rad, żem się o tej rzeczy dowiedział, bo ją też i w chałupie i sąsiadom rozpowiem. A teraz gdyć się już zmierzchać poczyna, to dziękuję pokornie i do stóp Dobrodzieja się schylam.

— Idźcie z Panem Jezusem Tomaszu, a pozdrówcie swoich odemnie — mówił mu xiądz proboszcz.

— Do nóg upadam Jegomości Dobrodziejowi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

*Ludka z Myślenic.*

# POGADANKA GOSPODARSKA.

*Drugie pisanie wójta Antka Kujawiaka.*

W pierwszą niedzielę po mojej podróży do Miłkowa po szkło, zebrało się kilku sąsiadów do mnie, a ja im opowiedziałem jak się to szkło robi, a dalej opowiedziałem im pogadankę moją z mieszczanem Oleszyckim.

Na to odezwał się Hryć Kibało: już to trza przyznać, że to piękna okolica te Oleszyce. Co to tam za piękny ogród i jak to wszystkie gościńce od dawna drzewem obsadzone, a drogi proste kiejby strzelił.

— Na co to drzewa — odezwie się Mikoła Zadworniak — one tylko cień robią i zboże pod niemi nie rośnie.

— Ot pleciesz — mówi stary Kibało — cóż tam na tem zależy, że masz pół snopka mniej, przezto nie zubożejesz; ale słyszałem od mądrych ludzi, że drzewa nad drogami wstrzy-

mują burze i zboże się nie tak powali jak gdyby drzew nie było; a potem mają one zasłaniać także od wielkiej spiekoty, że w czasie posuchy nie tak wypala; i grad ma takie pola omijać. Ale mniejsza i z tem; baczmy tylko na to: że kiedy jedziesz w zimie w zawierzuchę śniegową, że oka otworzyć nie możesz, albo w noc ciemną', to przecież nie zabłąkasz się, ale trafisz do wsi.

— Ha jużcić świętą prawdę mówisz Kibało — mówię ja na to — bo opowiem wam, co mi mój ojciec nieboszczyk, Panie świeć jego duszy, opowiadali. Będzie temu już lat wiele, bo ojciec jeszcze byli młodym parobczakiem. Wysłano go gdzieś w daleką drogę, a jechał saniami, bo były wielkie śniegi. Zajechał on tam szczęśliwie; ale gdy wracał, napada go wielka burza przed samym wieczorem; śnieg zasypuje drogę, zasypuje oczy, tak że musiał się położyć na sanie i spuścić się na wolę Bożą i na koniska, gdzie go zawleką. Jedzie a jedzie, a tu wiatr wyje i śnieg miecie, nic słychać nigdzie głosu ludzkiego, ani nawet szczekania psa. Nareszcie się ściemniło, i burza też ustała, tylko śnieg padał z góry. Ha jedzie w imię Boże; widzi obok jakieś góry, z drugiego boku równinę i znowu góry, a przecież miarkuje sobie, że jak dotąd jechał, żadnych gór nie było tylko same równiny. Niedługo pokazuje mu się ślad sani po śniegu. Jedzie więc za tym śladem, a ślad pokazuje się coraz lepszy. Jako człowiek młody był nieco zabobonny, a więc nabiło mu się do głowy, że to pewnie północ, a o północy jak to nieraz stara Paraszka opowiadała, mają duchy swoje wędrówki odbywać. Był już mocno zziąbł, ale na tę myśl, jeszcze dreszcz zimny go przeszedł; patrzy — a tu obok na pagórku stoi duch.

— Co duch? — krzyknie Mikoła Zadworniak z przerażeniem.

— Mówię wam duch z rękami, nogami, głową, i to w białej koszuli.

— A przecież sami mówicie wójcie że duchów niema — odrzeknie mi Mikoła.

— Ależ bo poczekajcie jeno dalej — a nie przeszkadzajcie mi. Otóż w tem miejscu ślad już dosyć wyraźny drogi skręcał

się ku sobie, a tak mój ojciec zacina szkapięta i pędzi dalej co może, a już z zimna gorąco mu się robiło. Ujechał tak może z pół mili, a tu znowu podobny duch stoi. Odwraca twarz od tego miejsca, a żegna się, a mówi pacierze jakich się tylko nauczył, a pędzi co może. Ba — za pół godziny jazdy — duch stoi; a ojcu już pot po całem ciele występuje. Odjechał tedy tęgi kawał, stanął, założył koniskom siana, i już tak modląc się chce czekać aż do świtu. Niezadługo też gdzieś blisko za górką koguty pieją i psy się odzywają; byłby rad jechał ku tej stronie, ale boi się ducha, jakiego tam widział; a więc położył się na saniach, okrył się dobrze, bo mu znowu zimno się zrobiło, i zasnął. Nie wiem jak długo spał; dosyć, że mu się ciągle o duchach śniło, że go gonią, że ręce do niego wyciągają, i że jeden już skoczył na sanie i chwyta go za kołnierz. „Jezus Marya!“ krzyknie i budzi się, a tu już bielusieńki dzień; przy saniach zaś stoi jakiś poczciwy chłopek, któren go w samej rzeczy za kołnierz szarpał i obudził. — Ta człeku co ty tu na stawie popasasz, toż masz pod nosem mieścinę. — O moiściewy stoi tam jeszcze ten duch? — A jaki duch? chyba ci się przyśniło. — Oj nie przyśniło mój człeku, widziałem ich kilku z rękami, nogami i w białych koszulkach. — Cóż wam mam więcej opowiadać — dosyć że mój ojciec przetarłszy sobie oczy, obejrzawszy się po okolicy i wypytawszy się o wszystko poczciwego chłopka, dowiedział się: że przy wczorajszej burzy zboczył o dwie mile z drogi, że zajechał na jakiś wielki staw zamarznięty i śniegiem zasypany. Po tym stawie jeździł prawie całą noc na około swoim własnym śladem i takim sposobem robił sobie coraz lepszy ślad. Zaś ów duch była to figura kamienna biała świętego Jana, która stała na końcu stawu na wzgórku. Jużcić skoro jeździł na około stawu, musiał się zawsze zdybywać z tą figurą, którą miał za ducha; a że mu się zdawało, iż jedzie jakąś drogą zawsze prosto, to też myślał, że co pół godziny pokazuje mu się inny duch. — Gdyby był około tej figury skręcił zaraz od siebie, byłby zajechał za kilka minut do mieściny, która zaraz za górką leżała; ale on brał się ku sobie, za swoim śladem zawsze znowu na staw. Był ci tam zaraz za figurą gościniec prowadzący pro-

sto do mieściny, ale że był zawiany śniegiem a przytem noc, więc go niewidział. Otoż widzicie jak to potrzebne są drzewa przy drogach i gościńcach. Gdyby bowiem były drzewa, nie byłby mój ojciec zboczył z drogi Bóg wie którędy na jakiś staw; a potem gdyby przynajmniej był ów gościniec za figurą wysadzony, tożby był zajechał do mieściny pomiędzy ludzi i nie byłby się błąkał po jakimś stawie całusieńką noc.

— Ha — mówi na to Kibało — miał jeszcze niemieckie szczęście, że staw był zamarznięty dobrze — bo byłby koniska, sanie, i sam siebie mógł zatopić na wieki, żeby go ludzkie oko nie widziało.

— I to prawda — rzeknę ja — ale czemuż to nazywać niemieckiem szczęściem?

— Alboście to nie słyszeli — odpowie Kibało — że jak Niemiec spadnie z dachu i rękę złamie, to powie drugi: ma szczęście, że się na śmierć nie zabił.

— O takiem niemieckiem szczęściu opowiem ja wam — rzeknie Zadworniak. Przed kilku laty odwoziłem jakiegoś pana het tam za Sambor. Było to w poźnej jesieni, błocisko wielkie, a noce tak ciemne, że oko wykol. Jadąc dotąd, nocowaliśmy zawsze po miastach, bo ugodziłem się tak, że ten pan opłacał postajenne i obrok; ale z powrotem nocowało się po wsiach, bo to mniej kosztowało, a człek chciał z zarobionego grosza jak najwięcej do domu przywieść. Narail mi także jakiś poczciwy człowiek, ażebym opuścił gościniec, i jechał mniejszą drogą, bo tam bliżej Już się dobrze ściemniło, i deszcz zaczął też padać, gdym zajechał do jakiejś wioseczyny. Zajeżdżam do karczmy, niema miejsca, bo arendarz miał w stajni swoje bydło i inne graty: siana mi także odprzedać nie chciał, bo go nie miał. Ale mówi jeden gospodarz: ot jedźcie człeku pół mili dalej, tam znajdziecie karczmę dobrą, i siano i owies i droga niemylna. Jadę tedy w deszcz i noc ciemną, wjeżdżam pomiędzy krzaki, droga kamienista, nierówna; aż tu wóz się chyżo przewraca i ja leżę w błocie. Podnoszę wóz, macam po ziemi, za drogą — ba — drogi niema. Myślę sobie: otoż masz niemieckie szczęście. Nawracam do tej wioski, z której jadę — drogi nie ma; zajeżdżam na jakiś moczar, koniska zapadają po ko-

lana, nie ma rady, trza znowu wracać. Jadę więc pod jakąś dosyć przykrą górkę, znowu pomiędzy krzaki i błąkam się dosyć długo, aż tu naraz koniska stają. Krzyknę wio! konie ani rusz, uderzam biczem, konie się cofają. Cóż to tam za nowa bieda, myślę sobie, i idę ostrożnie i macam i patrzę: a — na rany boskie! toż to stoję nad okropnem urwiskiem, a pod spodem głęboko widać wielką rzekę. Cofam czemprędzej koniska, całuję je z radości, że one więcej rozumu miały jak ja, bo jeden krok jeszcze, a byłyby konie, wóz, a może i ja na zawsze przepadły, ani moja biedna Jewka i matusia nie byliby się o mnie dowiedzieli. Stałem więc na deszczu całą noc, przemokłem do nitki, aż dopiero jak się rozwidniło: zajechałem do tej wsi, w której miałem nocować.

— A cóż nie było to niemieckie szczęście? — zapytał Zadworniak.

— Ha jużcić, było i wielkie — odpowiem mu — i nie dosyć na tem, ale ja pamiętam, jakeś to potem zachorował z przeziębienia i kilka miesięcy się wyleżał; a cóż to turbacyj miała nasza pani z tobą, co ci doktora sprowadzała i za leki płaciła.

— Oj prawda, niech jej tam Pan Jezus wynagrodzi, chodzili koło mnie, jak koło własnego dziecka — odpowie Mikoła.

— A przecież mówisz, że drzewo przy drogach niepotrzebne, bo cień robi i zboże nie rośnie.

— Ha jużcić prawda panie Wojciechu — rzeknie Mikoła — bo gdyby ta drożyna była wysadzona drzewem, nie byłbym jej zgubił, nie byłbym się po nocy błąkał, i jeszcze ledwie nie siebie z końmi i wozem w tej okropnej przepaści zatopił.

— Otoż tedy widzicie moi sąsiedzi — rzeknę ja — musimy się koniecznie o to starać, ażeby nasze drogi były obsadzone drzewkami.

— Dobrze to mówicie panie wójcie, aby obsadzić — mówi Mikoła — ale czem obsadzić? i jak utrzymać? Pan nam dał raz brzeziny młodej z lasu — więc zasadziliśmy — jedno połamali źli i swawolni ludzie, drugie połamało bydło; pan też widzi, że to na nic, nie chce już brzeziny dawać — a my jak wiecie, nie mamy drzewek, chyba tych kilka wiszni w ogródku.

— Słuchajcie co wam powiem — rzeknę ja — brzezina do dróg niezdatna, bo już to, że się rzadko kiedy przyjmie, a ma też koronę dużą, którą w samej rzeczy pole zacienia. Do dróg najlepsze są topole, bo one rosną prosto w górę i nie mają korony; a do takich topoli łatwo przyjść możem. Niechby każden z nas z dworskich topoli urżnął sobie kilka porosłych gałązek — niech je posadzi w jakim kąciku pomiędzy budynkami, oczyszcza i oplewia je, a będzie miał za rok lub za dwa piękne drzewka do zasadzenia około drogi na swoim gruncie. Topol bowiem wyrośnie bez korzenia z lada gałązki, taksamo jak wierżba, i rośnie bardzo szybko. Otoż taką topolkę opalikować i opleść jeszcze pole chrustem; przytem nakazać ostro dzieciakom, ażeby bydło od nich odwracali, i ukarać ich przykładnie, gdyby które drzewko uszkodziło; na obcych i swawolników zaś niech każden z nas uważa, wszak wiecie, że za uszkodzenie drzewka przy drodze stoi 3 reńskich kary w prawie; gdy więc tego wszyscy będziem pilnowali, zobaczycie, że będziem mieli drogi wysadzone, i że każdy nas za to pochwali. Musicie także o tem wiedzieć, że drzewko młode jest to nieprzymierzając jak małe dziecko, które ciągle pielęgnować trzeba, dopóki nie wyrośnie. Pewnieście nieraz widzieli, że drzewko schnie u góry, a zaś u dołu albo z ziemi wypuszcza gałązki; i nie baczyliście na to. Otoż na to trza zawsze baczyć przez całe lato: jak tylko wypuszcza latorośle z ziemi, albo gałązki od spodu do środka, a nie urznie się ich nożykiem przy samej korze, to niezadługo korona zacznie schnąć, i drzewko zniszczeje. Widzę ja, jak drzewka sadzą po innych wsiach, to szkoda tylko tej roboty, bo dołek wykopie na sztych: koronę zostawi mu całką; gałązek na środku nawet nie poobcina, a więc takie drzewko przyjąć się nie może.

Trzeba wykopać dół obszerny i na łokieć głęboki — potem wierzchnią urodzajną ziemię wsypać pod spód; na to zasadzić drzewko, obsypać i udeptać mocno. Zarazem zakopać trzy albo cztery pale; do jednego uwiązać drzewko wicią; gałązki poobcinać tak, aby tylko mała korona została, i tę koronę jeszcze u wierzchu przyciąć; takim sposobem drzewko pewnie się przyjmie.

— Bóg zapłać wójcie za wasze opowiadania — odpowiedzieli mi wszyscy — my się chętnie na to piszemy, rozkażcie tylko gromadzie, aby tak zrobiła, jak mówicie; bo jużto na nas się nie poskarzycie. Zostańcie z Bogiem, bo już czas do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

# Piękne przykłady.

## List Mikołaja Rogi, włościanina z Żabiniec.

Napisał do mnie Mikołaj taki list:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Wyczytałem w Dzwonku, w tomie szóstym, w numerze czwartym na stronie sześćdziesiątej trzeciej, że w starym Krakowie mają naprawiać nagrobek naszego króla Kazimierza Wielkiego. A ktożby się miał najlepiej do tego przyczynić, jeżeli nie my chłopi? Wszakże to był król chłopków, nasz największy opiekun i ojciec! Więc ludzie polskiej ziemi powinni do tego się przyczynić. Więc i ja ubogi wieśniak, wyczytawszy to, postanowiłem sobie szczerze przyczynić się maleńkim i bardzo skromnym datkiem, takim ile moja kieszeń pozwala, bo i ja chcę pokazać światu, że i po pięćset latach kocham naszego króla Kazimierza Wielkiego. *Mikołaj Roga*,

włościanin z Żabiniec.

W liście tym przysłał Mikołaj 20 krajcarów nowych. Otoż dziekuję ja jemu serdecznie za dobrą chęć i za jego datek; zaś pieniądze odeszlę zaraz do Krakowa tym zacnym xiężom dobrodziejom i panom, którzy zbierają pieniądze na odnowienie nagrobku naszego króla Kazimierza Wielkiego. I niech pan Bóg nagrodzi Mikołajowi jego dobre serce i jego pamięć na zacnego króla kmieci, który tak bardzo kochał cały lud wiejski, i tak go miał w opiece jak żaden inny.

Zaś list ten wydrukowałem tutaj na dobry przykład wszystkim ludziom wiejskim. Biedny Roga przysłał 20 krajcarów, a czyż to tylko on jeden z polskich kmieci będzie pamiętał o polskim królu. Insza rzecz jest, kiedy kto niema; taki dać nie

może, i niech się tylko pomodli za duszę naszego króla polskiego, a już dość uczynił. Zaś są i ludzie bogatsi, którzy mają dość i mogliby dać niejeden grosz, a tacy powinni to uczynić, aby wedle przykazania bożego pokazać wdzięczność swoją dla dobrego króla. Miły Boże! toć to nie każdy nawet wie, co on winien królowi Kazimierzowi. Nie każdy czytał o nim, jaki to był pan dobry, jaki zacny i miłosierny, jak lud wiejski kochał, jak dobrze jemu czynił, w czasie głodu własnym chlebem karmił, a takie mu dawał wolności i dobrodziejstwa, o jakich dziś nie słychać. Zaś mówiąc szczerą prawdę, to wszyscy królowie polscy byli zacni i najbardziej dla ludu wiejskiego łaskawi, ale już król Kazimierz Wielki najwięcej. Za to należy jemu wdzięczność, a może też pan Bóg i chce przekonać się o wdzięczności ludu polskiego, aby mu znowu dać takie dobre czasy, jak za polskich królów były. O moiściewy kochani, toż tylko prosić pana Boga o takie czasy, toć tylko prosić go o zmiłowanie nad narodem naszym i naszą polską ojczyzną, która tak szczęśliwą była za polskich królów.

Więc kto będzie miał dobrą chęć i kto będzie mógł, niech także przyszle kilka groszy, a my o każdym takim wydrukujemy w Dzwonku. Zaś najlepszy sposób będzie teraz, kiedy będziecie przysyłać pieniądze na nowy Dzwonek od Nowego roku, więc kto będzie mógł dodać i na naprawę nagrobku króla Kazimierza, to razem przyszle.

---

## Nowy Kalendarz dla Ludu Polskiego.

Wydrukowano teraz piękny Kalendarz dla ludzi wiejskich i dla rzemieślników, który będzie na cały rok 1863. Jest to ładna xiążeczka. Najpierw jest zwykły kalendarz, gdzie każdy dzień w roku zapisany, i każdy święty Pański, zaś i święta wszystkie, kiedy i jak mają następować. Dalej są tam wierszyki ładne, i różne opowiadania i nauki, a także porady gospodarskie. Zaś ta piękna xiążeczka, bo i obrazków jest w niej nie mało, kosztuje tylko 45 centów, i można ją kupić w każdej xięgarni. Dla pokazania, jakie tam są piękne rzeczy, wy-

drukujemy wam tu poradę o przechowaniu kartofli na zimę, o której tak stoi napisano w kalendarzu:

Dzięki Panu Jezusowi i Panience Najświętszej, która naszą ziemię polską w szczególnej ma opiece, nie słychać od paru lat z żadnej strony, żeby się ziemniaki psuły. Zaprzeszłego roku słabowały one trochę, przeszłego były zdrowsze, wielkie i smaczne.

Nie sztuka to wykopać, nie sztuka też i zjeść, zwłaszcza jeśli masz sól, a trafi się i okrasa; ale skoro zjeść od razu nie można, to sztuka jest przechować ziemniaki tak przez zimę, coby się nie popsuły. Podawano wam już nieraz kochani bracia rady, jak sobie w takim razie postępować, ale widząc jak wy sobie w tem ciągle źle radzicie, pomyślałem, że to nie zaszkodzi opisać wam jeszcze raz szeroko, jakto ziemniaki przez zimę przechowywać należy, żeby były zdrowe i ani od deszczów nie zgniły, ani od mrozów nie zmarzły. Owoż się trafia między wami najczęściej, że zasypujecie ziemniaki do dołów, co jak świat światem nigdy nie jest dobrem, a przeciwnie bardzo szkodliwem być musi; bo żaden dół, choćby na pagórku, nie będzie ci tak suchy, żeby tam wilgoć i woda nie podeszła. A skoro tylko woda podchodzi, a do tego i luftów nie ma, któremiby powietrze dolatywało, a para z ziemniaków uciekła, to muszą ci one zacząć gnić powoli, a jak już gnić zaczną, ho, ho, to już trudna sprawa; nie pomoże Święty Boże, zepsuje ci się wszystko do imienia.

Najlepsze ze wszystkich schowków są piwnice suche, widne i wietrzne, ale że to u nas mili gospodarze rzadko się trafia, więc nie ma też o czem mówić. Lepiej będzie od razu opowiedzieć, jak się ziemniaki w kopce zasypują, i jakie powinny być te kopce.

Otoż kopce są dwojakie, albo mniejsze okrągłe, albo większe podłużne. Podłużne są lepsze, bo je możesz podług ilości ziemniaków, jak ci się podoba urządzić: na 3 lub 4 łokci szerokości, a długość wedle woli; a jak przyjdzie ziemniaki dostawać, to możesz od jednego końca rozpocząwszy, potrosze wyjmować i na nowo zakładać, podczas gdy przy okrągłych naraz tylko całą ilość kartofli wyjąć można.

Chcąc taki kopiec urządzić, trzeba najprzód wybrać ziemi do dwunastu cali głębokości, tak żeby na pokrycie całego kopca wystarczała. Jeżeli jest grunt suchy i czysty, to od razu sypać można, lepiej atoli podłożyć nieco równej słomy, która się przynajmniej do połowy po za krawędź wykopanego dołku wysuwa; te wystające końce można tymczasem gdy ziemniaki sypać wypadnie, deskami poprzyciskać, a potem usypawszy już ziemniaki coraz wyżej ku górze, zdejmiesz deski, podnosisz owe końce słomy, okrywając kopiec, który też i z góry słomą jak daszkiem obłożyć należy. Poczem obrzucasz cały wykopaną ziemią, gniotąc z lekka łopatą, a dajesz na to baczność, że skoro przyjdą mrozy, to drugie tyle ziemi przywieść i dopiero nią po drugi raz kopiec obrzucać trzeba.

Jeżeli wykopiesz ziemniaki przy suchej i ciepłej pogodzie, a nie ma na nich prawie żadnej ziemi, to pamiętaj nie sypać je w wielką gromadą do piwnicy, zwłaszcza jeżeli jeszcze na dworze wciąż ciepło; bo gdy przytem w lochu przeciągu powietrza nie ma, a niektóre ze ziemniaków trochę poranione i wielką leżą kupą, to ci pewnie zgnilizna i zepsucie nie zadługo się w nie wkradnie.

Na to samo trza mieć baczność przy sypaniu ziemniaków w kopce. Owoż należy w kopcach od góry jeden lub kilka otworów zostawić, ale tak z wierzchu słomą zakrytych, coby tylko niemi powietrze sobie hulało, a deszcz nie zacinał; za najbliższym mrozem zatyka się te lufty, otwierając je znowu, gdy ciepła odwilż nastąpi.

Niech Bóg broni sypać wraz ze zdrowemi zmarznięte ziemniaki, kilka takich może ci cały kopiec zepsuć. Lepiej też gdy przypadkiem kopanie ziemniaków za długo w jesień się przeciągnie, kiedy już przymrozki nad ranem się trafiają, aby te przymrozki cierpliwie przeczekać i w ciepłym czasie kopać, lub też co najlepiej pospieszyć się z kopaniem.

Oto są główne potrzeby zdrowego przezimowania ziemniaków. Przeczytajcież je sobie uważnie i róbcie jak napisano, a pewnie wam to na dobre wyjdzie.

---

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.